



PSZONKA.

29 LISTOPADA. 1844.

I. Marzanna o rzeczywistości.

Zegar bije północ, — wybił — ucił — otoż i 29. Znowu 29 — po raz jedenasty 29. Jedenasta rocznica chwili wielkiej, olbrzymiej — chwili tak wielkiej, tak olbrzymiej, że niejedyn może naród oddałby połowę swojego szczęścia za podobną: że niejedyn może umarł bez podobnej: my ją mamy, znamy się na nią, wielbimy ją, święcimy — po raz jedenasty, i zawsze na obcej ziemi — takie święto narodowe na obcym śmietniku, taką uroczystość w żebraczej odzieży, taką chwałę w poniżeniu, święto wolności w niewoli, hasło życia w omdleniu do konania podobnym. I dzisiaj powtórzmy to samo, odżyjemy jeszcze raz w duchu Polski, objawimy się Polską tłumnie, jawnie, swobodnie, za pozwoleniem zwierchności — i znowu złożymy świąteczną narodową szatę, wrócimy do żałoby, do życia zaojczystego; do zatrudnień, do trosk, do brudów powszednich. Oslupione oczy będą znowu pytać obcych niebios o przyszłe losy Polski, bezcelne kroki staniać się po obcych brukach, omdlałe myśli wędrować do Ojczyzny ślakami coraz dzikszymi, i nie doszedłszy do niej, upadać jak znużone ptaki w zamorskiej wędrowce do ciepłej gdzie którą znużenie napadło, w powszednie troski, w samolubne zabiegi, poziome żądze, brudne uciechy, ołtudy rozumu, wiarę bez kotwicy, nadzieję bez jutra,

w nieład, klótnie, zwątpienie, czczość, i znowu będziemy oczekiwać nowej, dwunastej rocznicy, ażeby przeszła jak jedenasta, jak wszystkie jednaście, i kółkiem tej samej kolei przyprowadziła nas do trzynastej, a trzynasta do cztertnastej, i tak następnie.

Skąd mi te myśli smutne? Skąd mają być jasne? No! bo taka głucha. Tak zimno, mglisto, chmurno, ponuro. nago na dworze: a w duszy jeszcze chmurniej, puściej, straszniej. Jedenaście lat nazad, podobny był poranek, równie zimny, mglisty, ponury, ale jaki wieczór za to. Życie Polski wybuchnęło słońcem, rozjaśniło, rozpalilo ogniem słońca naród cały, noc poranku swiała wieczorem, dusze promieniły przeczuciem, serca gorzały wielkim czynem. A dzisiaj? jaki poranek, taki będzie wieczór; tylko zimniej, posępniej, ciemniej na ziemi i w duszach, tylko może przybędzie jednym więcej zgorzenie, jeden błąd, jeden grzech, powiększy się nieład, wzmożni się nienawiść, osłabnie wiara, Polska oddali się jeszcze bardziej. Można nie mieć ponurych myśli? I patrzyłem przez okno w ciemne niebo; zawołałem nakoniec: Nie! święto 29 powinno być dniem zadusznym. Gdyby w ten dzień powstała cała Polska umarła, że wszystkimi poświęceniami, ofiarami męczennikami, których zmarnotrawiliśmy przez nasze zepsucie, ze wszystkimi cierpieniami, których jesteśmy przyczyną, z całą przyszłością okropną, którą jej gotujemy

nporem naszej złości, gdyby tak weszła pomiędzy nas, bryznięła po zgromadzeniu żarem krwi swojej, zajęczała głosem wyrzutu, powołała wszystkich do rachunku z ich roboty narodowej: możeby się otworzyły nasze oczy, może wzruszeni, zawstydzeni, przestraszeni, weszliby, na prawą drogę, i następny obchód święcili w obozie walki... O gdyby to mogło być!..

— Może i jest! — odezwał się grzmiący głos za mną.

Zwróciłem się w stronę głosu i postrzegłem niespodzianego gościa. Zadrżałem mimowolnie. Dzwonek nie odezwał się, drzwi nie skrzypnęły kiedy wchodził.

— Kto Pan jesteś? zawołałem, o tej porze, jakim sposobem?

— Takim samym jak Pszonka żyje po półtrzecia wieku. Zdumiałem się. — Cóż to nie poznajesz mię Waszmość? Wpatrzyłem się. Przypominałem sobie oblicze i przypomnieć nie mogłem.

— Mistrz akademii krakowskiej, ów lekarz, pamiętasz Waszmość!

— Czy to być może? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Amen.

W rzeczy samej był to ten sam alchemik, o którym już wam mówiłem. Poznałem go nareszcie. Stał przedemną taki sam jak przed trzema wiekami. Uradowałem się i zastanowiłem się jednocześnie. Pomyślałem sobie: Przybył zapewne po moją duszę.

To mnie nie trwożyło. Ale porzucić ziemię w tak ważnych czasach, pożegnać Ojczyznę w takim zawieszaniu losów, w takich niebezpieczeństwach, kiedy niejedną jeszcze mogłem oddać jej przysługę! to mię zasmuciło szczerze.

W końcu jednak uspokoiłem się myślą: że Bóg jest zawsze, i nie da Polsce zginąć, chociaż mnie w niej nie stanie. Dla tego zawołałem z głębi serca: W sam czas przychodzisz mój mistrzu. Życie moje upływa w takich trudach, w takich udęczeniach, widok zewsząd taki niemiły, że śmierć będzie mi pociechą. Rób więc swoje.

— Jesteś w błędzie, szanowny Pszonko, przerwał alchemik; nie przychodzę zrywać twojego życia, ale je wzmożnić. Przychodzę cię pokrzepić, pocieszyć. Miałeś smutki? te przemienę, nie prawdaż? Masz je? przemienią jak tamte. Będziesz miał nowe? i te jeszcze przemienią. Wszystkie twoje cierpienia zresztą czémże są przy cierpieniach Ojczyzny? Trzeba żyć. Jesteś jeszcze potrzebny: możesz być użyteczny; trzeba tylko być gotowym na wszystko. Jesteśże gotów dłużej cierpieć?

— Dłużej i więcej niż dotąd cierpiałem.

— Bóg z tobą. Za to spadną z twojej duszy kajdany ciała, podniesiesz się na skrzydłach anielskich do strefy nadludzkiej i zobaczysz czego ludzie zwyczajni nie widzą. Zobacysz Polskę, jaka jest i będzie zawsze.

— Chodźmy. Cóż cię tam jeszcze nie puszcza?

— Jedna myśl. Daruj, ale dla emigranta to nie może być obojętne. Czyby nie można odłożyć naszej podróży do wieczora?

— Dla czego?

— Wieczorem będzie obchód.

— Coż na obchodzie zobaczysz?

— O mistrzu! nie znasz tego widoku, nie wiesz jak on uroczyście, rozrzewniający. To zebranie ludzi na obcej ziemi, nie zapominających o swojej; te myśli skupione w jedną myśl, te mowy, te wiersze patryotyczne...

— A po tém wszystkiem co?

— Po tém wszystkiem, rozchodzimy się.

— I nie nawidzimy się, kłucimy się jak dawniej, grzeszymy przeciw Polsce jak dawniej. Widziałeś choć jednego któryby przy takim obchodzie zwrócił się z uściskiem miłości na szyję swojego przeciwnika, choć jednego któryby wobec wszystkich wyznał swoje winy, choć jednego któryby zostawił na obchodzie swoją dumę, miłość własną, błędne zdanie, widoki osobiste, pogardę ku drugim, duch stronnictwa, wątpliwość, wyniosłość, pokorę, szczerą, skruczę za przewinienia, silną wolę poprawy, cześć przed zasługą innych, serce czystsze, duszę wznioślejszą, silniejszą miłość rodzinną, jaśniejsze pojęcie stanu Ojczyzny, wiarę w Oj-

czyznę bezwarunkową: widziałeś choć jednego któryby lepszym z tamtąd wyszedł?

— Nie znam wszystkich.

— Ale czy znasz takiego? Powiedz Bogiem a prawdą!

— Bogiem a prawdą, nie znam żadnego.

— Wasze więc obchody, takie jak były dotąd, są tylko sceną popisu dla płaskich retorów, dla wykrętnych sofistów z jałową deklamacją, frazesami bez duszy, zdaniami bez ognia prawdy; są żniwem lichy popularności dla lichszych jeszcze pyszałków, polem walki dla nienawiści rodzinnej, skalą jak dalece zepsucie serc i rozumów może rozpiecać całość narodu w rozerwane członki, są świętokradztwem, urąganiem, bluźnierstwem wielkiemu dniowi i nieszczęściu ojczyznie...

— Mistrzu, Mistrzu, dla Boga, ciszej, nuż nas kw podłucha.

— Cóż stąd?

— Mnie za grzeczniejsze wymówki okrzyczano Gurowskim, bluźniercą, szatanem, antychrystem, starowiercą, ślepym, chromym, Bóg wie nie czem.

— I to po dziesięciu rocznicach 29, po dziesięciu latach nieszczęść, i nauki przez nieszczęścia. Nie prawdaż? A ty chcesz być na jedenastej? A na jedenastej może cię ukamienują. Ciało im bardziej zranione, tem drażliwsze, złość tem wścieklejsza, im więcej lęka się o swoją maskę.

— Święte twoje słowa. Ale obiad!

— Cóż ci po nim?

— Tak! nie! Chciałbym tylko wszystko widzieć i słyszeć.

— I bez tego będziesz wszystko widział i słyszał, — przez ducha Polski.

— A więc wola twoja, Mistrzu. Jestem gotów.

Dziwny mędrzec kilka tylko słów wymówił, kilka znaków zrobił, że ani się postrzegłem, jak cały świat obecny zniknął, i ujrzałem się w nowym, zupełnie innym, on tylko przy mnie pozostał.

II. Widzenie tego co jest.

Ujrzałem naprzód budowę nieobjętego ludzkiem okiem ogromu. Było to coś nakształt świątyni, nakształt miasta, nakształt kraju całego, a jednak w kształcie świątyni. Styl budowy nie da się wyobrazić przez żaden ze znanych rodzajów budownictwa; połączone tam ujmująca prostota, przepych zdumiewający, wdzięk co porywa, ponurość co w melancholię zanurza. Na ciało budowy żyły się wszystkie królestwa przyrody, na jego upiększenie wszystkie sztuki, połączone dziwnym sposobem: kolory mówiły, harmonia budowy dzwoniła najwznieśliwszą muzyką, dźwięki płonęły wszystkimi barwami blasku. Ogrom cały stał na oddechu ziemi, który się pod nim w obłoki podścielał; kształty jego przybrane były w błękitny eter, nieprzejrzysty jak błękit nieba; kopuły, wieże, z podobnegoż eteru, podnosiły się ku niebu w niezmierną rozmaitą wysokości bez liku, każda dotykała swoim ostrzem jakiejś gwiazdy, a każda gwiazda była jakimś wyrazem polskim, jakimś nazwiskiem, tak że jednym rzutem oka obejmowałaś całą ziemię polską, cały język, całe życie Polski, i z każdej spływały aż na dół po onych wyżynach strumienie światła; jedne spływały, drugie tajemniczą siłą podnosiły się do góry, tak że nieustannie było krążenie, ruch nieustanny, nieustanna jakby rozmowa ziemi z niebem. Wszystkie te gwiazdy krążyły około jednego ogromnego słońca, piły światłość z jednego ogromnego słońca, które było słowem Polska, i wisało na promieniu bez początku i końca; spoczywało zaś na wierzchołku kopuły, ogromniejszej od wszystkich gór na ziemi, pokrywającej całe owe miasta, a całe miasto oblewającej falami polskiego słońca, igrającemi wiecznie to w dół, to w górę.

Zbliżyliśmy się do drzwi świątyni, a przewodnik rzekł do mnie: Jesteśmy w Polsce, wstąpimy w jej duch, staniemy twarzą w twarz przed Ojczyzną, a w chwili bardzo ważnej. I tu także jest obchód 29 Listopada. Wejść każdemu wolno pod warunkiem aby zdał szczerą sprawę z całego swojego życia polskiego. Czy jesteś gotów spełnić ten warunek?

— Jestem, odpowiedziałem z pokorą.

Mistrz puknął we drzwi po raz pierwszy, i zawołał: W imię miłości Boga; puknął raz drugi: w imię miłości bliźnich; puknął raz trzeci: w imię miłości ludu polskiego! Drzwi rozwarły się same przez się. Widok wnętrza świątyni równie był zdumiewający i nie do opisania jak jej powierzchowność. Świątliwość wydała mi się jeszcze większą, ale przesłaniała ją w każdej, że tak powiem, iskierce jakaś żaloba, niedotykalna dla zmysłów, tylko na duszę padająca. Nieuprzedzony nawet, byłbym zgadł od razu że to jest chwila obchodu w czesie 29, ale obchodu żałobnego. We wszystkich barwach, promykach, na każdej cząstce świątyni, na każdym punkcie jej próżni, błyszczał napis świętego dnia, choć go nigdzie oko nie widziało, nie było go nigdzie zdaje się, a jednak zapełniał całą świątynię; w każdym dźwięku, w każdym szmerze, w samej ciszy brzmiała myśl jego, ale nazwiska nigdzie słyhać nie było, a jednak je słyszałeś. Był to hymn wieczny, nieskończony, nieustający, a w jednym słowie zamknięty.

Ledwieśmy weszli, niewidziany głos zawołał ode drzwi moje nazwisko, że się rozległo jak grzmot po pustkach świątyni, i w tejże chwili głos podobny zawołał z przeciwnego końca: Pszonka, do grobu Ojczyzny, przed sąd Ojczyzny! Zadrżałem mimowolnie, postąpiliśmy jednak naprzód, i staliśmy już przy grobie.

Widok jego był przerażający, a razem niesłychanie okazały. Wyglądał on jak zburzone miasto, zwalone na jedną kopę gruzów, z wyciętymi mieszkańcami, ze zniszczonem całym życiem jakie się w niem znajdowało: wszystko tam było pomieszczone, gruzy, drzewa, głównie jeszcze tlejące, trupy zakrwawione. Oblęwał je ten okropny płomień, który się nad pożarem po chmurach czepia, a wewnątrz głucho grały wszystkie jęki, wszystkie krzyki cierpienia, bólesci, skarg, żalów, narzekan i konania. Ale gruzy dzikie uspodu, ubierały się u wierzchu w kwiatami pękające drzewa, pleśń zgrzybiałych trupów unosząc się wyżej, nabierała coraz wyraźniejszej barwy życia, układała się w drobne ciała, i pierzchała od szczytu na wszystkie strony skrzydlatemi gniołkami, brudny płomień pożaru i zniszczenia pałał w najwyższych swoich płomykach różowym blaskiem jutrenki, a śpiew śmierci tak okropny w głębiach grobu, im bliżej szczytu, tém wyraźniej zamieniał się w radośny, grzmiący hymn zmartwychwstania. Grób i kofyśka były w tym pomniku, dwie tajemnice, tajemnica śmierci i tajemnica życia; dwa uczucia budziły się przy nim, radości i bólesci, nadziei i rozpacz, oba jednocześnie, oba równie silne. Doznałem tego na sobie; w stanie zwyczajnym, na świecie zwyczajnym, byłbym na zawsze oszalał; w tej chwili, nie wiedząc także nie co się ze mną dzieje, dlaczego co robię, zalałem się łzami, nie wiem z rozkoszy czy z bólu, zalałem ręce, padłem na kolana, rzuciłem się cheiwami ustami na zimne głązy nagrobku, i począłem je całować, nie wiem czy pierwszém pocałowaniem miłości, czy ostatniem kiedy konamy lub konających żegnamy. Wnet, o dziwo, uczułem w zimnych głązach ciepło ciała żyjącego, i drganie jakoby serca w piersiach: aż oto i głos przemówił, nie wiem podemną czy nademną: Synu, twoja spowiedź już skończona. Odbyłeś ją w taki sposób, że ci przebaczam wszystkie twoje grzechy. Słuchaj teraz co ci powiem, i schowaj to do serca, i szanuj wiecznie jak święty upominek matki z dnia dzisiejszego (Zrobiłem jak matka kazała, i dlatego nie udzielam nie czytelnikom; zresztą upomnienie to mnie tylko dotyczy, a dla innych może być obojętne). Zakończyła jak następuje: Na świadectwo łaski mojej odziewam cię szatą poświęcenia. Jest to godowa szata dni męczenników, purpura męczenników. Przywiązane do mej wielkie bólesci i wielkie rozkosze, wielkie trudy i wielkie zastugi. Szczęśliwy, kto na ostatecznym sądzie narodu ukaże ciało do niej podobne—dla dobra ludu. Odejdź synu, i czekaj.

Rzuciłem okiem po sobie i ujrzałem się w tej oto szacie czarownej, którą tu widzicie. Posłuszny głosowi Ojczyzny, wstałem i stanąłem z boku grobu, mając znowu obok siebie mojego przewodnika.

Po krótkiej ciszy, głos odźwierny zagrzmiął: Emigracya! Przywódcy Emigracyi, przed sąd Ojczyzny, zawołał

głos grobu. Myślałem że ujrę próbki stronnictw, opinij emigracyjnych; omyliłem się: cała prawic Emigracya płynęła ku grobowi. Zrobiłem uwagę mojemu mistrzowi: Wszak tylko przywódców wezwano.— Mistrz uśmiechając się, odpowiedział zapytaniem: Wieluż masz nieprzywódców? — Prawda! pomyślałem w duchu.

Trzeci Maj pierwszy się wysunął, ustrojony w kitę z piór redaktorskich i barwę książęcą. Chciał mówić.— Daj pokój, zawołał głos grobu. Twoje czoło mówi za ciebie: całe zginęło pod twoim grzechem. Synu, jesteś na drodze zbrodni. Głowa twoja ułomna, serce zepsute, sumienie jak noc zamętu. Zamiast służyć narodowi całemu, wzięłeś służbę u jego sługi. Nędzną okrucień ogółu podniosłeś nad ogół. Wiareg twoją narodową przeniosłeś od Ojczyzny do jednej osoby. Na jednej osobie oparłeś zbawienie wszystkiego. Synu, z twojej duszy ustąpił Bóg i Ojczyzna, a ich miejsce zajęły głupstwo, nikczemność, liche własne widoki. Puszczasz jad na rany twój matki. Wysączasz jej krew żywną dla pokrzepienia trupa. I do wszystkich tych przestępstw dodajesz kłamstwo: twoje godło, Polska! jest kłamstwem; dla ciebie Polska, jest twój król *de facto*. Ciężar narodowej zbrodni a tobie. Pokuta twoja będzie wielka. Odstąp, i czekaj.

Trzeci Maj stał jeszcze, kiedy go potrącił ze złośliwym uśmiechem, wymuskany Panicz, i wstąpił na jego miejsce. Miał on włosienicę na modnym fraku, na czole piętno hrabskiej korony, u boku rozaniec, przy ustach pantofel papieża. Kto jesteś? zawołał głos grobowy. *Dziennik Narodowy, ad maximam Dei gloriam.* — Zaczynam — Spowiadałem się przed tygodniem.— Spowiadaj się dzisiaj, bo co tydzień grzeszysz, ciężko grzeszysz, na wyścigi, i to z kim? z *Trzecim Majem*, i o co? że on od razu nazwał królem, co ty chcesz udawać jakiś czas za naczelnika. Żle, mój Synu, masz się za mędrszego jak twój spórzawodnik, a naśladowujesz go w grzechu głupstwa, jeszcze mu go zazdrościsz, i przesadasz w nim przez obłudę. Porzuc te bałamuctwa. Potępienie w nich dla ciebie, a dla Ojczyzny cierpienie. Twój naczelnik nie jest Messyaszem Polski; twój Sejm nie czysta dziewica, żeby go porodził; twoja wiara w Rzym nie zastąpi wiary w Polskę. Skieruj lepiej całą ku ludowi bratniemu. Wszak wierzyś w bóstwo Chrystusa? wierz więc, że kto był godzin krwi Chrystusowej, i uzyskał prawa niebieskie, ten ma prawo do praw ziemskich. Popraw się, jeszcze raz wołam; poddaj się myśli ludu; zgódź swoją wiareg z wiara jego przyszłości, zerwij z szatanem pychy, a przynajmniej bądź prosty, szczerzy. Odstąp i czekaj pokuty! — *Dziennik* ustępował, ale ustępując zawołał wspólnie z *Trzecim Majem*: — Królu, naczelniku *de facto*! rodzicu nasz; wystąp nareszcie i przemów. Oto grzeszemy i cierpiemy dla ciebie, a ty się kryjesz. Jesteś wszędzie, czemuż cię nigdzie niema? — Głos grobu zawołał nazwisko wywoływane, i pokazał się starzec, występując z małego grona opodal tłumy, które go swoim kółkiem zakrywało dotąd. — Przybliź się, zawołał głos grobu, spowiedzi po tobie nie wymagam. Nie powiedziałbyś prawdy: skrytość i udawanie zamieniły ci się w sumienie. Z resztą, wiem twoje grzechy bez ciebie. Dam ci tylko upomnienie obrażonej matki. Synu mój, dni twoje policzone, twój grób niedaleki, co chwila bliższy; zostaje ci coraz mniej krótkiego czasu do naprawy tego co popsujesz. Spiesz się, spiesz się być innym jak byłeś dotąd. Rola jakiejś całej życie poświęciłeś, nie była nigdy dobra, i dobra nie będzie. Nie uwierzyłeś we mnie, przyklejałeś mnie jako podrzędny członek do obcego ciała, gasiłeś ogień mej piersi ile razy samodzielnie zaczął się podnosić, wiązałeś mi ręce i nogi, i wydawałeś na łaskę morderców, dla mego niby zbawienia, i dzisiaj sigasz po nagrodę najnotliwszego, najpoświęconszego w narodzie, po miłość największą ludu, po władzę; za to że byłeś bardziej Moskalem jak Polakiem, że dzisiaj znowu chcesz być nie tyle Polakiem co królem. Manowce—droga twojego życia; twoja robota — nieszcześćcia kraju; czas opamiętać się. Złóż pychę, którą niebawem śmierć w dym zamieni. Zostań bratem ludu, rób jak brat ludu, a przez te kilka chwil życia ostatnich, zarób sobie przynajmniej na pamięć zaszczytniejszą, niż apoteoza pieczętiarzy. Tymczasem dziel karę z tymi, z którymi dziś grzeszysz. Miejsce twoje

pomiędzy *Trzecim Majem* a *Dziennikiem Narodowym*. Powinność twoja ścisnąć nieustannie to jednego to drugiego; aby ich dręczyć wzajemną zazdrością; twoja zaś kara, twoja... okropna ale sprawiedliwa — niech oba piszą twoje pochwały — ostatek krwi twojej.

Zjednoczenie Towarzystwo! zagrział głos odźwierny. — Protestujemy! My nie towarzystwo! wrzasnął tłum ogromny. — Milczcie dzieci! zawołał głos grobowy; to nie sejmik emigranckiej gminy. — Grzechy wasze? — Oto akt *Zjednoczenia!*... Głos grobowy przerwał mówcę. — Dosyć! Wszystkie już powiedzieliście. Dzieci moje, dzieci, jakie wy dzieci; ale co w tych dzieciach zarozumiałości, co miłości własnej, co uporu, co nienawiści, co myśli wykrętnych, co popędu do kabał, do intryg, co obłudę; co ducha niesforności, co namietności wyuzdanych, co nałogu najzepszutszego szlacheckiego czasu, co za dziwne zjednoczenie tego wszystkiego? I takie *Zjednoczenie* ma wyobrażać cały naród, ma nim kierować, ma go zbawić. Błuznicie mu, dzieci, potwarzacie go, chcecie go zgubić. Grzeszycie śmiertelnie. Poprawcie się, rozjednoczcie się. Niech co dobre wróci pomiędzy dobrych, a co złe, niech w odosobnieniu ginie, jeżeli się nie poprawi. Ale wytrzeźwienie się wasze leży na dnie kielicha waszego; pijcież go do dna. Waszą więc religją, będzie religja nowej Polski, myślą społeczeńską nauka *Gromady Grudziądz*; wasze ślepe postuszeństwo zostanie pod władzą... Tu głos tajemniczy uciekł na chwilę, i znowu zawołał: — *Zjednoczenie* pismo przed sąd Ojczyzny! Wspiąłem się na palce. Ciekawy byłem jak też wygląda wice-król królestwa bożego, ale głos Ojczyzny zajął mi znowu całego. — Synu mój, ogłaszasz się przewodnikiem do królestwa bożego, a idziesz drogą ciemności. Twoje apostołstwo godniejsze Antychrysta jak Messyasa. Z księgi świętej wysłałeś tylko nienawiść żydowską; błogosławisz przekleństwami. I chcesz wmówić w braci, że głosisz miłość najwyższą, najczystsza. Synu mój, błuznisz Bogu, błuznisz miłości; grzeszysz najbezczelniejszą obłudą. Zaczem uzyskasz przebaczenie, bądź narzędziem kary: rządz *Towarzystwem Zjednoczenia*, a za pokutę, rządz niemi z miłością i rozumem.

Zatem nastąpiły gminy, gminki, w gminkach jeszcze gminki, i tak w nieskończoności; dalej rozmaite dzienniki, broszurki, świstki, dalej konfederacye o trzech, dwóch, dziesięciu głowach, niektóre o jednej, większa część bez żadnej; dalej pojedynczy co sami w sobie są towarzystwem, emigracją, krajem, wszystkiemi: ale czy podobna wszystko spamiętać i opowiedzieć. Kiedy nakoniec wypróżniono huflce *Zjednoczenia*, usłyszałem zawołanie: *Demokrata!* i *Demokrata* stanął przed grobem, a głos tajemniczy przemówił: Jakikolwiek są twoje grzechy, twoi przeciwnicy wyświadali je światu, i chłostą swojej nienawiści każdy już zmazali. Idź po drodze po której dotąd szedłeś, za gwiazdą myśli która ci dotąd świeciła. Tam jest konieczna przyszłość i życie twojej matki. Rozszerzaj wiarę we wszechmocność narodu, zstępuj coraz głębiej między lud, poświęceniem się dla jego dobra, wiąż twoje serce z sercami bratnimi przez ojczyznie uczucia, przez rodzinną miłość coraz ściślej, utwierdzaj ducha prawej karności, gromadź przymioty apostoła, miej poddanie się męczennika; wierz, kochaj, cierp, a pracuj i trwaj, to gwiazda Polski będzie ci świecić coraz jaśniej, i coraz jaśniej będzie opromieniać twoją duszę, aż ci pokaże w południowym blasku to co dzisiaj widzisz dopiero w brzasku jutrzeńki. Wtedy odbierzesz nagrodę w błogosławieństwie ludu; dzisiaj masz przebaczenie wszelkich win przeszłych, i błogosławieństwo matki na dalszą drogę.

Na raz wszystkie głosy świątyni zawrzały okrzykiem: *Naród! naród!* a drzwiami wpłynął tłum ludu jak fala potopu, i zalał cały przestwór. Ojczyzna tylko mogła objąć spojrzaniem ten ogrom: Świątynia zamieniła się w dolinę Józafata. Rozpoczął się sąd narodu. Niepodobna opowiedzieć jak się odbywał. Jest to nad siły mojej przeciw najświętszym tajemnicom Ojczyzny. Stawały wszystkie stany, wszystkie odłamy ludu, pojedyncze nawet osoby, i odbierały błogosławieństwa lub upomnienia, nagrody lub kary. Zawołano nakoniec: — Męczennicy! Święty zastęp skupił się przy grobie. Półnady, obciążeni kajdanami, wychudli, wybladli, skrząwieni, nędzarzo ciałem, wszyscy jak jeden człowiek,

spokojni, wdzięczni, silni, nadziemscy duchem, wszyscy jak jeden Anioł, były to ofiary więzień moskiewskich, niemieckich; postrzegłem wielu znajomych, zalałem się łzami; przygasała jasność świątyni, smutna pieśń przeciągnęła wiatrem, jęknęła wnetrze grobowca, ale wnet zagrzmiało groźniej niż dotąd słyszałem. Ludzie grzechu, patrzcie, o męczennicy wasi! Patrzaj narodzie cały, oto obraz Ojczyzny. Patrzaj, i popraw się! — Więźnie pojrżeli po sobie zapłakali, i zawołali: — Matko! przebac! Nasze grzechy muszą być niezmiernie, kiedy taka jest twoja męczarnia! Przebac nam grzechy nasze! — Nic, dzieci moje, odpowiedział głos grobu, wy jesteście bez zinyzy dzisiaj. Kochaliście tyle, cierpieliście tyle dla win cudzych, że sami zgladziliście własne. Ja żyję przez was tylko. Jestem z wami, i moje błogosławieństwo z wami wiecznie. I w tejże chwili dwoje rąk wyszło z grobowca, zawisło nad głowami męczenników, strumienie światła wypłynęły z nich na wszystkie strony, rozlały się w okolo męczenników, i ułożyły się w promienną koronę nad głową każdego z nich. I tak zostali przy grobie jak jego Aniołowie-Stróże.

III. Widzenie tego co daj Boże.

Krótkie było milczenie. Gwar ciągły w orszaku powstalców, coraz większy, urosłszy w wycie wściekłości, niszczącej siebie przez siebie, wybuchnął w końcu jęknem rozpacz: Matko, Matko, zlituj się nad nami; nie wytrwamy tak dłużej. Pomrzemy, przepadniemy wiecznie. Przebac nam. — Wskrzęście mnie wprzódy, grób odpowiedział. — Cóż mamy robić aby Cię wskrzęcić? — Ukochajcie mnie w ludzie moim, przysięgnijcie mi posłuszeństwo w posuszeństwie mojemu ludowi, poświęćcie się mi poświęceniem dla mojego ludu, a zaczniacie od wyparcia się, od zniszczenia wszystkiego co zewnątrz i wewnątrz, w myśli i w czynach, wyosabnia was z ludu, z jego myśli, z jego życia, z jego szczęścia, co was robi buntownikami przeciw niemu, nieprzyjaciółmi albo panami jego. Wtedy wam przebaczę. — Przebaczaj Matko, zawołałi potępiency, oturbinimy wszystko co każesz. Jesteśmy ludem, jego wola naszym prawem, jego władza naszym panem, jego szczęście naszym szczęściem, co mamy wszystko dla niego poświęcamy. — I w tejże chwili dziwny przedstawił się widok, panowie, deptali nogami swoje mitry, szlachta darła swoje dyplomy, bogacze dzielili się z biedakami swoim dobrem, król *de facto* zaklinał na kłęczkach swoich wyznawców, aby mu pozwolili być prostym człowiekiem ludu, *Trzeci Maj* pluł na swoje pismo, *Dziennik Narodowy* zaśmiał się głośno sam z siebie, sejm rzucił swój mandat pod nogi tłumu. Zjednoczyciel-Spolecznik oddał co miał nadto, a cudzego nie zapagnął i szczerze się uśmiechnął, Zjednoczyciel-Komiteł uznał się niższym od narodu, i przyznał *Demokracji* słuszność; a wszyscy zmieszali się w tłum jeden, ścisnęli się, całowali się, płakali z radości. Nagle zagrała muzyka zmartwychwstania, grób zniknął, cała przestwór świątyni przybrała widok raju, a w powietrzu nad miejscem grobu jaśniała anielska postać; patrzała ona z uśmiechem niebieskiej rokoszy na scenę poprawy, nakoniec przemówiła c

Błogosławione jesteście dzieci moje! Zmartwychwstałam przez was. Obchód skończony. Widzieliście go duchem. Taki powinien być wasz na ziemi. Obyście go jak najprędzej mieli. — Anioł zniknął i z nim całe widzenie zniknęło.

Znalazłem się znowu u siebie przed oknem, śród nocy. Przez chwilę zdało mi się, że widzę dziwnego mojego mistrza: odchodził właśnie. Chciałem przemówić, nie byłem nikogo.

Wszystko to miałooby marnem być widzeniem, i nigdy się nie sprawdzić? Nie! wierzmy w lepszość jak w Boga; tymczasem pracujmy na nią.

Adres redakcyi jest zawsze ten sam: M. Andre Polonais, 69, à Strasbourg.

— Obecny półarkusz można nabyć za cent. 25 w redakcyi w Paryżu w czytelni polskiej, rue de La Harpe, 54.